Malarz

Chciałbym, żebyś miała śmierć w oczach – tak powiedział mi Andrzej Wajda przed nakręceniem jednej ze scen do *Kroniki wypadków miłosnych*. Co dziwne, była to scena erotyczna, jeśli tak można powiedzieć, o krótkim i gwałtownym zbliżeniu. Dlaczego właśnie w tej scenie chciał śmierci? Zrozumiałam, że chodzi o jakiś rodzaj martwoty, i kiedy nakręciliśmy scenę po raz pierwszy, Wajda powiedział, że nie potrzebuje dubla, że o to właśnie chodziło. Ale dlaczego? Wielokrotnie przypominałam sobie tę jego aktorską wskazówkę i zawsze mam wrażenie, że mówił do mnie nie tyle reżyser, ile malarz. Pracowałam z nim kilkakrotnie, dwa razy w teatrze i zawsze, tak jak pewnie wielu aktorów, zadawałam sobie pytanie, na czym właściwie polega jego fenomen.
On nie dawał zwykłych reżyserskich uwag – raczej przyglądał się zmaganiom z rolą i potem próbował określić to, czego mu brakuje. A brakowało mu zwykle jakiejś prawdziwej intensywności, czegoś, co nie jest oczywiste, a raczej niepokoi. Kiedy zaproponował mi rolę Julii w Powszechnym, byłam bardzo zaskoczona. Wajda, reżyser filmowy, powinien raczej szukać do tej roli jakiejś utalentowanej nastolatki, a nie kobiety, która, jak ja wtedy, miała już dwójkę dzieci. Jeszcze większym zaskoczeniem był dla mnie wybór Romea. Piotr Kozłowski, bardzo zdolny aktor, był ode mnie dziesięć lat młodszy! „Jak ty to sobie wyobrażasz?" – pytałam. Powiedział wtedy, że sztuka teatralna jest umowna i widzowi nie przeszkadza wiek aktorów. No więc zasiedliśmy do pierwszej czytanej próby Szekspira, a Wajda po kilku minutach zapytał: „Ale dlaczego wy nie gracie? Przecież umiecie grać". Nie był w stanie, a raczej nie chciał zrozumieć, że do roli teatralnej dochodzi się powoli, że ten proces ma swoje etapy. Był reżyserem bardzo delikatnym, więc nie wyrażał tego słowami, ale widać było, że się niecierpliwi, że się gotuje w środku, kiedy aktor nie dostarcza mu czegoś ożywczego. „On powinien być taki cały czas, blady" – powiedział kiedyś do aktora, który w *Romeo i Julii* grał Merkucja. Ale jak zagrać bladego? Na takie pytania Wajda nie odpowiadał.
Był przekonany, że aktor powinien mieć w swoim zasobie takie środki, żeby się wydawało, że jest blady. Jedno, czego potrzebował, to twórczej atmosfery. Pierwszego dnia, kiedy zebraliśmy się do pierwszej sceny *Kroniki wypadków miłosnych*, była tam cała obsada filmu. Wszedł, spojrzał na nas i... wyszedł. Wkrótce przyszła do nas jego wieloletnia współpracownica i powiedziała: „On wyczuł w was jakieś lenistwo, jakąś bierność. Tak nie może być. Andrzej nie będzie pracował w takiej atmosferze".

Czekaliśmy wszyscy na Wajdę w pokoju. Wszedł, spojrzał na nas i... wyszedł. Zdjęć tego dnia nie było. „Wyczuł w was jakąś bierność – powiedziała jego asystentka. – Tak nie może być".

Razem z Gabrielą Kownacką grałyśmy tam siostry, osamotnione, złączone bliźniaczą więzią. Prywatnie nie miałyśmy ze sobą jakiegoś bliskiego kontaktu. Po tych zerwanych zdjęciach zadzwoniła do mnie kierowniczka produkcji. „Andrzej wyczuł, że nie ma między wami tego, co musi zaistnieć na ekranie. – Dobrze – zażartowałam – bardzo się do jutra polubimy". Odpowiedź była krótka: „Wy się macie nie polubić, tylko pokochać". Wiele już wiedziałam o pracy z Wajdą, kiedy zaproponował mi największą przygodę teatralną. Sztuka napisana przez Annę Bojarską była prapremierą przeznaczoną od początku dla Tadeusza Łomnickiego i dla mnie. Andrzej nie dawał wielu wskazówek, raczej cieszył się z każdego nowego pomysłu i przyglądał z tym swoim zachwytem naszej aktorskiej pracy. Nie była wolna od załamań, od konfliktów, od napięć. Andrzej i temu przypatrywał się z twórczą ciekawością, czasem odgrywał rolę mediatora. Zaprzyjaźniliśmy się wtedy bardzo, a potem... A potem przyszła ta nieszczęsna Telimena. Dlaczego on sobie właśnie mnie wymyślił na tę wybujałą kobietę? Najpierw tajemniczo pojawił się na moim spektaklu *Goła baba*, a potem przyszedł do garderoby, składając mi propozycję zagrania Telimeny. Stałam przed nim drobna, wychudzona nawet i myślałam, że żartuje. Ja? Telimenę? A on na to: „Wiesz, tam jest taka scena, kiedy Tadeusz myli Zosię z Telimeną, więc ona właśnie powinna mieć drobną sylwetkę, ja już to widzę w tym ogrodzie, w tym słońcu, jak tam stoisz trochę kobieta, trochę dziewczynka". Wszystko potem potoczyło się inaczej i Telimeny nie zagrałam. W swoich archiwach mam list, jaki do mnie napisał.
Kiedy Andrzej dostał Oscara, my, jego aktorzy, zostaliśmy zaproszeni do telewizyjnego studia, żeby oglądać uroczystość, a przed nią połączyć się z nim na antenie. Było nas tam kilkadziesiąt osób i nagle na ekranie pojawił się Andrzej, kierując do nas kilka zdań. I w jednym z pierwszych powiedział: „Chciałbym pozdrowić Joasię Szczepkowską". Ja nie wiem, co potem mówił, bo chyba każdy zrozumie stopień mojego zdumienia. Tak po prostu przed Oscarem wyróżnić kogoś z powodów jakichś zawodowych zaszłości? Ale to wiele o nim mówi. Nie żył nagrodami tylko swoim artystycznym światem, miał swój własny kąt widzenia. Patrzył na życie jak malarz.

FOT. SZYMON SZCZEŚNIAK/LAF